Robert Walser

CZŁOWIEK DO WSZYSTKIEGO

Przekład
Teresa Jętkiewicz

Posłowie
Piotr Paziński

Pewnego dnia o ósmej rano przed drzwiami ładnej willi stanął młody mężczyzna. Padał deszcz. „To raczej dziwne – pomyślał mężczyzna – że mam ze sobą parasol”. Dawniej bowiem nigdy go nie miał. W wyprostowanej, opuszczonej ręce trzymał brązową, tandetną walizkę. Przyjezdny zatrzymał wzrok na emaliowanej tabliczce z napisem: „C. Tobler – Biuro Techniczne”. Czekał chwilę, jak gdyby musiał zastanowić się jeszcze nad czymś zgoła nieważnym, po czym nacisnął guzik dzwonka. Młoda kobieta, sądząc z wyglądu służąca, otworzyła mu drzwi.

– Jestem nowym pracownikiem – powiedział Joseph, tak bowiem miał na imię.

Dziewczyna poprosiła go do środka i wskazała mu drogę na dół, do biura. Powiedziała, że pan za chwilę przyjdzie.

Joseph zszedł po schodach, które jego zdaniem byłyby odpowiedniejsze dla kur niż dla ludzi, i bez trudu znalazł po prawej ręce lokal biura technicznego. Po chwili oczekiwania drzwi się otworzyły. Z odgłosu pewnie stawianych kroków i z mocnego pchnięcia drzwi Joseph od razu domyślił się pana. Postać

wchodzącego potwierdziła jego przewidywania; był to istotnie Tobler, głowa domu, pan inżynier Tobler. Popatrzył na Josepha oczami szeroko rozwartymi ze zdziwienia, zdawało się, że jest niezadowolony, i tak też było w istocie.

– Dlaczego? – spytał, rzucając Josephowi karcące spojrzenie – dlaczego właściwie przyszedł pan już dzisiaj? Kazałem panu przecież stawić się dopiero w środę! Nie liczyłem dziś na pańskie przybycie. Tak panu było pilno? Dlacze...?

Joseph odczuł to połknięcie końcówki jako dowód pogardy. Takie okaleczone słowo na pewno nie brzmi zbyt przyjaźnie. Odpowiedział, że w biurze pośrednictwa pracy wyraźnie polecono mu zgłosić się dziś, w poniedziałek, z samego rana. Jeżeli zaszła pomyłka, to prosi o wybaczenie, ale on naprawdę w niczym tu nie zawinił.

„Patrzcie tylko, jaki ze mnie układny człowiek" – pomyślał przy tym i uśmiechnął się w duchu, rozbawiony swoim zachowaniem.

Wydawało się jednak, że Tobler wcale nie był skłonny wybaczyć mu tak szybko. Kilkakrotnie jeszcze nawiązywał do tego, a jego i tak czerwona twarz z oburzenia czerwieniała coraz bardziej. „Nie pojmował", „dziwił się", to temu, to owemu. Wreszcie jednak niezadowolenie wywołane oczywistą pomyłką ustąpiło i pan Tobler mruknął pod nosem, że Joseph może zostać.

– Nie odeślę pana przecież z powrotem. Głodnyś pan?

Joseph odpowiedział twierdząco, ale dość obojętnie. Sam się dziwił własnemu spokojowi. „Pół roku temu – przemknęło mu przez myśl – tego rodzaju pytanie postawione takim tonem onieśmieliłoby mnie, i to jak jeszcze!”

– Więc proszę za mną – powiedział inżynier.

Zaprowadził świeżo zaangażowanego pracownika do jadalni na parterze. Biuro mieściło się bowiem na wpół pod ziemią, w suterenie.

W pokoju jadalnym, a zarazem bawialni, pan Tobler odezwał się w te słowa:

– Siadaj pan! Wszystko jedno gdzie. I najedz się do syta. Oto chleb. Kraj go pan, ile zechcesz. Bez skrępowania! I kawy możesz wypić do woli. Jest jej dość. A tu stoi masło. Jak pan widzisz, wystarczy sięgnąć. Są także konfitury, jeśli je pan lubi. Zjesz pan smażonych ziemniaków?

– O, owszem, dlaczego nie, bardzo chętnie – śmiało odparł Joseph.

Pan Tobler zawołał służącą Pauline i kazał jej prędko podsmażyć ziemniaki. Po śniadaniu odbyła się na dole w kantorze, pośród rysownic, cyrkli i porozrzucanych ołówków, taka oto rozmowa między obu mężczyznami:

Potrzebny mu jest, oświadczył surowo Tobler, pracownik z głową. Nic mu po bezmyślnym automacie. Jeżeli Joseph zamierza pracować bez ładu i składu albo zbijać bąki, to niech go łaskawie z góry o tym uprzedzi, żeby od razu było wiadomo, czego można się po nim spodziewać. On, Tobler, wymaga bowiem od pracownika inteligencji i samodzielności. Jeżeli

Joseph sądzi, że tych zalet nie posiada, to niech będzie łaskaw... itd. Pan Tobler, wynalazca urządzeń technicznych, wielokrotnie się powtarzał.

– Ach – powiedział Joseph – dlaczego nie miałbym być pracownikiem z głową, proszę pana? Jeśli o mnie chodzi, najmocniej w to wierzę i spodziewam się, że zdołam sprostać wszelkim wymaganiom, jakie pan uzna za stosowne mi stawiać. Zresztą jestem tu na górze (dom Toblera stał na wzniesieniu) tylko na próbę. Nasza wzajemna umowa nie wyklucza natychmiastowego zwolnienia mnie, jeśli panu wyda się to konieczne.

Tu pan Tobler zapewnił, że nie chce przewidywać takiej ostateczności. Niech więc Joseph nie bierze mu za złe jego poprzednich słów. Sądził, że od początku nie powinien nic owijać w bawełnę i że to przyniesie pożytek obu stronom. W ten sposób bowiem każdy z nich wie, na co może liczyć, i tak jest najlepiej.

– Bez wątpienia – przytaknął Joseph.

Po tej rozmowie szef wskazał podwładnemu miejsce, gdzie „mógłby" pisać. Był to nieco za ciasny, za wąski i za niski pulpit z ławką i szufladą, w której przechowywano znaczki pocztowe i kilka niedużych ksiąg handlowych. Stół, gdyż był to raczej stół niż prawdziwy pulpit, stał pod oknem wychodzącym na ogród tuż nad powierzchnią ziemi. W głębi widać było rozległe jezioro i jego przeciwległy brzeg. Widok ten robił dziś dość ponure wrażenie, gdyż bezustannie padało.

– Chodź no pan – odezwał się nagle Tobler z uśmiechem, który Josephowi wydał się trochę niestosowny

w tym momencie. – Moja żona musi pana także poznać. Przedstawię jej pana! A potem pokażę pokój, w którym będziesz sypiał.

Zaprowadził Josepha na pierwsze piętro, gdzie wyszła na ich spotkanie szczupła, wysoka kobieta. To była „ona". „Kobieta jak każda inna – zamierzał już stwierdzić Joseph, ale zaraz dodał w duchu: – a jednak nie". Pani spoglądała na „nowego" ironicznie i obojętnie, ale robiła to mimo woli. Wydawało się, że chłód i ironia były jej wrodzonymi przymiotami. Wyciągnęła rękę niedbale, a nawet leniwie. Joseph ujął jej dłoń i skłonił się przed „panią domu". Bo tak ją nazwał w myśli, nie dlatego, żeby ją w piękny sposób wywyższyć, przeciwnie, dlatego, żeby ją czym prędzej potajemnie obrazić. Zachowanie tej kobiety było jego zdaniem zbyt wyniosłe.

– Mam nadzieję, że będzie się panu u nas podobało – powiedziała pani osobliwie wysokim głosem, nieco ściągając usta.

„No, proszę, proszę! Bardzo ładnie powiedziane. Patrzcie, jaka uprzejma. Ha, zobaczymy". W ten sposób uważał Joseph za właściwe pokwitować owe przychylne słowa. Następnie pokazano mu jego pokój. Mieścił się on w krytej miedzianą blachą wieżyczce, była to więc niejako komnata basztowa, w pewnym sensie romantyczna i wytworna. Wydała mu się zresztą jasna, przewiewna i miła. Łóżko było porządnie zaścielone, o tak, w takim pokoju można sobie pomieszkać. Wcale nieźle. I Joseph Marti, bo tak brzmiało jego nazwisko, postawił zabraną z dołu walizkę na wyłożonej klepkami podłodze.